

Ilja Leonard Pfeiffer

Grand Hotel Europa

Powieść

Hoofdstuk 1, blz. 11-17 // Hoofdstuk 26, blz. 539-547

Z języka niderlandzkiego przełożył Ryszard Turczyn

Hoofdstuk 1, blz. 11-17

Rozdział pierwszy

Zadanie

1

Pierwszą osobą, z jaką rozmawiałem od dłuższego czasu, pomijając kilka słów, jakie zamieniłem na początku i na końcu jazdy z moim mrukliwym kierowcą taksówki, był chudy, ciemnoskóry młodzieniec w nostalgicznym czerwonym stroju hotelowego pikolaka. Już z daleka widziałem go, jak siedzi na marmurowych schodach podestu u głównego wejścia, mającego po bokach kolumny o porządku korynckim, pod złotymi literami układającymi się w nazwę Grand Hotel Europa, jeszcze kiedy taksówka z chrzęstem opon na żwirowej alejce między platanami zaczęła się zbliżać do końca długiego podjazdu. Siedział paląc papierosa. Podeszedł, żeby mi pomóc z bagażem. Ponieważ zrobiło mi się go żal, i to tak naprawdę, że mój przyjazd zakłócił mu przerwę na papierosa, powiedziałem do niego, kiedy taksówka oddalała się od nas po żwirze, że mój bagaż spokojnie może trochę poczekać, że mam za sobą długą podróż i że z chęcią też sobie zapalę. Poczęstowałem go papierosem z mojej błękitnej paczki Gauloises Brunnes bez filtra i wyciągnąłem zapalniczkę Zippo *solid brass*, żeby podać mu ogień. Na swoim kepi miał wyszytą złotą nicią nazwę Grand Hotel Europa.

Usiedliśmy. Siedzieliśmy tak parę minut w milczeniu obok siebie paląc papierosy na schodach prowadzących do okazałego wejścia wspianego niegdyś hotelu, w którym zamierzałem się chwilowo zatrzymać, kiedy nagle zwrócił się do mnie ze słowami:

– Proszę mi wybaczyć, że nie potrafię powstrzymać ciekawości, ale czy mogę zapytać, skąd pan przyjechał?

Wydmuchiłem obłoczek dymu w stronę smugi pyłu, jaką pozostawiła za sobą w charakterze wspomnienia taksówka, zanim zniknęła na końcu podjazdu, gdzie zaczynał się las.

– Jest kilka możliwych odpowiedzi na to pytanie – odrzekłem.

– Chętnie usłyszę je wszystkie – powiedział. – Jeśli jednak miałoby to panu zabrać zbyt dużo czasu, może poda mi pan tę najładniejszą.

– Najważniejszym powodem, dla którego tutaj przybyłem jest to, iż mam nadzieję mieć tutaj czas na znalezienie pewnych odpowiedzi.

– Chciałbym ogromnie przeprosić, że przeszkodziłem panu w wypełnieniu tego ważnego zadania. Muszę się nauczyć, że moja ciekawość może być uciążliwa dla gości, jak powtarza zawsze pan Montebello.

– A kim jest ów pan Montebello? – spytałem.

– To mój szef.

– Concierge?

– On nienawidzi tego słowa, jakkolwiek jego etymologia jest prawidłowa. Nauczył mnie, że wywodzi się ono od „comte des cierges”, czyli „hrabia świec”. Praktycznie wszystkiego, co wiem, nauczyłem się od pana Montebello. Jest dla mnie jak ojciec.

– Jak więc chciałby, żeby go nazywać?

– On jest maître d’hôtel, preferuje jednak tytuł majordomusa, ponieważ zawiera on w sobie łacińskie słowo „dom”, a w jego

rozumieniu naszym najważniejszym zadaniem jest zadbać o to, aby nasi goście zapomnieli, co nazywali domem, zanim się u nas pojawili.

– Wenecja – powiedziałem.

Kiedy wypowiadałem nazwę tego miasta, popiół z papierosa spadł mi na spodnie. Boy to zobaczył i zanim zdążyłem zaprotestować, ściągnął jedną ze swoich rękawiczek i z pełnym zaangażowaniem zajął się strzepywaniem popiołu z nogawek moich spodni. Miał szczupłe, ciemne dłonie.

– Bardzo dziękuję – powiedziałem.

– Co to takiego Wenecja? – spytał.

– To jest miejsce, które nazywałem domem zanim tutaj przybyłem i najładniejsza odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie.

– Jaka jest Wenecja?

– Nigdy jeszcze nie byłeś w Wenecji? – spytałem.

– Ja w ogóle nigdy nigdzie nie byłem – powiedział. – Tylko tutaj.

Dlatego ku niezadowoleniu pana Montebello nabrałem zwyczaju narzucania się naszym gościom z moją ciekawością. Próbuję dowiedzieć się czegoś o świecie z ich opowieści.

– Jakie miejsce ty nazywałeś domem, zanim tu przybyłeś?

– Pustynię – odpowiedział. – Pan Montebello jednak zadbał, żebym zapomniał o pustyni. Jestem mu za to wdzięczny.

Przesunąłem spojrzeniem po terenie otaczającym hotel.

Kolumnada była porośnięta bluszczem. Jedna z wielkich glinianych waz, z których wylewały się bugenwille, była pęknięta. Ze żwiru wyrastały chwasty. Uspokajające, ale to nie było właściwe słowo. Kojące.

Rzeczywiście można tu było w pełni zaakceptować upływ czasu i utratę wszystkiego.

– Wenecja to przeszłość – powiedziałem. – I mam nadzieję, że pan Montebello także i mnie pomoże o niej zapomnieć.

Zduśliłem papierosa w doniczce, która służyła nam za popielniczkę. On zrobił to samo i zerwał się z miejsca, żeby zająć się moim bagażem.

– Bardzo dziękuję za dotrzymanie towarzystwa – powiedziałem.

– Czy mogę zapytać, jak ci na imię?

– Abdul.

– Miło było cię poznać, Abdul. – Tu przedstawiłem się imieniem i nazwiskiem. – Wejźmy do środka. Niechaj się rozpocznie.

2

Nawet gdybym nie był przygotowany na obecność majordomusa, to nie mógłbym przeoczyć jego obecności. Gdy tylko postawiłem stopę za progiem jego twierdzy i sanktuarium, zbliżył się do mnie w lansadach. Powitał mnie z tak ogromną emfazą, z użyciem takiego mnóstwa uprzejmości, wyszukanych słów i ozdobników, że nie było najmniejszej wątpliwości, iż mam do czynienia z profesjonalistą.

Wcześniej nauczył się mojego nazwiska na pamięć i w dyskretny sposób dał mi do zrozumienia, iż jest mu wiadomym fakt, że jestem pisarzem. Podczas kiedy troskliwie dopytywał się, czy długa podróż nie była nazbyt wyczerpująca, w niezauważony sposób wyjął skądś szczoteczkę do ubrań, którą oczyścił ramiona mojej marynarki, nie omieszkając skomplementować kroju mojego garnituru. Zupełnie jakby czuł się odpowiedzialny za całe Universum, przeprosił mnie za uciążliwości współczesnego świata, które nakładają na niego obowiązek

dopełnienia pewnych formalności, zapewniając jednocześnie, że zupełnie spokojnie możemy na to znaleźć odpowiedni moment nieco później, kiedy już ochłonę po trudach podróży.

Kiedy odrzekłem, iż niestety nie wiem jeszcze, jak długo zamierzam zostać i że mam nadzieję, iż nie stanowi to problemu, rozwiął moje zmartwienia eleganckim gestem dłoni i zapewnił mnie, że to wielki zaszczyt dla hotelu i dla niego osobiście, że mogą przyjąć mnie jako gościa i że jedyne, czego sobie życzy, to aby ta radość trwała jak najdłużej. Następnie pochylił się ku mnie i powiedział szeptem, że nie chciałby, aby zostało to uznane za jego brzydką cechę zajmowania się nieswoimi sprawami, ale niestety nic nie poradzi, że zauważył, iż lewa spinka mojego mankietu nie jest dobrze zapięta i nigdy by sobie nie wybaczył, gdybym miał ją zgubić wskutek jego dyskrecji.

Spytał, czy może mnie zaprowadzić do mojego apartamentu, który kazał przygotować specjalnie na moje przybycie. Wyraził przekonanie, iż z pewnością przypadnie mi on do gustu, gdyby jednak okazało się, że moim zdaniem hotel pod jakimkolwiek względem nie stanął na wysokości zadania, wówczas osobiście zadba o to, aby moje dodatkowe życzenia zostały niezwłocznie zaspokojone. Pozwolił sobie zarządzić, aby przyniesiono mi do pokoju coś na orzeźwienie oraz nieco smakołyków. Na koniec spytał, czy zechcę pójść za nim.

Pan Montebello, majordomus Grand Hotel Europa ruszył przodem przez hol wejściowy, gdzie znajdowała się recepcja i stanowisko portierów, następnie przeszedł przez wysokie dębowe drzwi do wielkiego holu głównego z marmurową kolumnadą, z którego monumentalne schody prowadziły na wyższe kondygnacje. Poruszał się po dywanach o wysokim włosie niczym wytrawny łyżwiarz figurowy, który najwyraźniej bez trudu potrafi być jednocześnie całkowicie odwrócony w moją stronę, aby objaśniać mi przy okazji rzeczy warte zapamiętania, poruszając się tyłem z niezmienną prędkością. Gdyby

nie to, że od czasu do czasu wykonywał piruet, abym mógł nieco nadrobić dystans, miałbym trudności z dotrzymaniem mu kroku. Abdul szedł za nami niosąc moje bagaże.

– Zaraz po lewej znajdzie pan bibliotekę – mówił mój przewodnik – za nią jest sala zielona i pokój chiński. W drugi skrzydle mieści się salon, sala jadalna oraz nasza skromna restauracja, gdzie zarezerwowałem dla pana stały stolik przy oknie z widokiem na pergolę oraz ogród różany, czy też to, co z niego zostało, za którym może pan dojrzeć połyskujące wody stawu. Fontanna jest już niestety od kilku lat nieczynna, mogę pana jednak zapewnić, że nasza kucharka dołoży wszelkich starań, aby nastroić pana łagodnie względem tego braku.

Główny hol wyposażony był w spektakularny żyrandol, który wyglądał na dramatycznie staroświecki.

– To jeden z przedmiotów naszej największej dumy – stwierdził majordomus, który zauważał wszystko, a więc i to, że zwróciłem uwagę na ten element oświetlenia. – Tyle że niezwykle uciążliwy w utrzymaniu. Czy zwrócił pan uwagę na portret nad kominkiem? Bez wątplenia poznaje pan szlachetne rysy Niccolo Paganiniego. Będę pierwszym, który panu przytaknie, jeśli stwierdzi pan, że pod względem malarskim nie mamy tu do czynienia z arcydziełem. Został on namalowany przez jednego z pomniejszych mistrzów, którego nawet w jego czasach nie uważano za wyprzedzającego swoją epokę. My jednak czujemy się z nim wyjątkowo związani, albowiem został namalowany tu na miejscu z natury, kiedy wirtuoz był u szczytu sławy i zatrzymał się w tym hotelu przejazdem w czasie swojej podróży po wielkich książęcych dworach Europy, gdzie robił furorę i zbierał poklask. Z przekazów wynika, że z własnej inicjatywy dał koncert w tym holu, w podziękę za wyśmienity *steak aux girolle*, który mu tutaj zaserwowano. Od tamtego czasu danie to przemianowano na *steak Pagasnini*, i po dziś dzień

króluje ono w naszym menu. Trudno byłoby o lepszą sugestię dla pana na dzisiejszy wieczór.

Na lewo od kominka wisiała skromnego formatu i skromnej wartości artystycznej akwarela przedstawiające Plac św. Marka w Wenecji. Aż przełknąłem ślinę na ten widok. Majordomus z pewnością to zauważył, nic jednak nie powiedział, jakkolwiek aż się prosiło, by zacytować tutaj słowa Wergiliusza. Balustradę marmurowych schodów ozdabiały rzeźby przedstawiające baśniowe zwierzęta, po lewej Chimereę po prawej Sfinksa.

– Nasi goście mogą spać spokojnie, mając świadomość, że nad ich bezpieczeństwem czuwają tak srodzy strażnicy – powiedział Montebello. – Aby dotrzeć na wyższe piętro, należy przejść pomiędzy hybrydowym upostaciowieniem strachu oraz rozpinającą swe zdradzieckie sieci poezją, która stawia przed nami zagadki, a więc odpowiednio przed niezbyt realistycznym przedstawieniem autoportretu mężczyzny, oraz istotą kobiecości, że pozwolę sobie rozbawić pana moim dyletanctwem w zakresie symboliki. Jeden z naszych dystygowanych gości powiedział mi kiedyś, że jego zdaniem owe monstra mają za zadanie nie tyle trzymać z daleka obcych, ile raczej uniemożliwić gościom dotarcie do wyjścia. Minęły już lata, od kiedy to od niego usłyszałem, a on nadal tu przebywa. Ma na nazwisko Patelski. Powinien pan się z nim spotkać. Przeczucie mi podpowiada, że doceni pan jego towarzystwo. Jest wybitnym uczonym.

W przejściu u szczytu schodów stała wielka waza ze sztucznymi kwiatami.

– Tak, tak, wiem – rzekł majordomus. – Miałem złudną nadzieję, że to panu umknie. Upraszam pana o wspaniałomyślność i przyjęcie moich najbardziej uniżonych przeprosin. Ta wyłamująca się z ogólnego obrazu dekoracja, to żalony wyraz zamiłowań nowego właściciela.

– A więc hotel ma nowego właściciela? – spytałem.

– Całkiem niedawno Grand Hotel Europa przeszedł w chińskie ręce – usłyszałem w odpowiedzi. – Nowy właściciel to pan Wang. To dość świeża sprawa, tak więc w tym momencie trudno nam jeszcze ocenić konsekwencja. Pan Wang zapewnił dobitnie, iż jego zamiarem jest odrestaurowanie hotelu w duchu jego dawnej świetności, a swoboda finansowa, jaką zdaje się on dysponować, z pewnością może się do tego przyczynić. Z pewnością nie uszło pańskiej uwagi, że hotel tu i ówdzie nosi ślady nie do końca perfekcyjnej konserwacji. Cóż, po prostu nie mamy już obecnie tylu gości, co dawniej. I w tej kwestii pan Wang zamierza coś uczynić. Dąży on do osiągnięcia pełnego obłożenia. Wszystko to jestem skłonny oceniać jako jego pozytywną cechę. Niestety kłóci się z tym nieco owa waza z plaskitkowymi kwiatami, która każe nam żywić pewne obawy co do rzeczywistego wyczucia nowego właściciela w kwestii podtrzymania naszych tradycji. Nie chcę jednak zanudzać pana moimi przemyśleniami. Jesteśmy na miejscu. Oto numer 17, apartament który kazałem dla pana przygotować. Trzeba panu tylko wiedzieć, że drzwi na taras niezbyt dobrze się zamykają. W przypadku, gdyby pojawiła się silna bryza, sugerowałbym podstawienie pod nie krzesła. Zostawię pana teraz samego, aby mógł pan odetchnąć po podróży i miał okazję się odświeżyć. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, wystarczy pociągnąć sznur dzwonka wiszący przy drzwiach. Życzę panu przyjemnego pobytu w naszym Grand Hotel Europa.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Hoofdstuk 26, blz. 539-547

Rozdział dwudziesty szósty

Pochowanie Europy

1

Pierwsi uczestnicy pogrzebu dawnej właścicielki Grand Hotelu Europa przybyli już wcześniej i nocowali w hotelu, z którym dla nich wszystkich wiązały się miłe wspomnienia. Byłem pod dużym wrażeniem liczby zainteresowanych, aby oddać jej hołd, lecz wzrosła ona jeszcze niepomniernie o poranku tego smutnego dnia. Na długim podejździe i przy marmurowych schodach prowadzących na podest przed wejściem, z rzędami korynckich kolumn po obu stronach, panował nieprzerwany ruch taksówek, Bentleyów i Rolls Royce'ów. Wraz z Patelskim zajęliśmy miejsce na ławeczce pod pergolą przed budynkiem, skąd mieliśmy uprzywilejowany widok na przybywających gości. Montebello, który niewątpliwie był ogromnie przejęty odejściem kobiety, którą uważał za swoją matkę, witał się z każdym z wzorowym profesjonalnym opanowaniem i gracją. Chińscy turyści fotografowali drogie samochody oraz gości przyodziających w niekiedy dość ekscentryczne odmiany strojów żałobnych.

Większość z nich była równie leciwa, co wytworna. Patelski rozpoznał Aleksandra Trubietskoja, rosyjskiego księcia lat około siedemdziesięciu, pochodzącego z rodziny mieszkającej na wygnaniu w Paryżu.

– Jego kuzyn, książę Tonu, jest wokalistą w jednym z estońskich zespołów punkowych – poinformował Patelski.

Przybyła wysoka, elegancka pani w podeszłym wieku, ubrana całkowicie na czarno, z czarną woalką na twarzy. Patelski powiedział, że to Mina Mazzini, legendarna włoska piosenkarka popowa, bardziej znana pod swoim scenicznym pseudonimem Mina, która po okresie sukcesów w latach 60. ubiegłego stulecia, nigdy dotąd nie pokazała się publicznie.

Następnie przybyli baronessa Cetty Lombardi Satriani di Porto Salvo, stylistka i projektantka mody Diane von Fürstenberg, była żona księcia Egona von Fürstenberga, francuski piosenkarz Charles Aznavour ze swoją córką Katią, książę Jonathan Doria Pamphilj, Don Carlos Canevaro, książę Zoagli, oraz Leka z rodu Zogu, syn Ahmeda Muhtara Beya, pierwszego i ostatniego zarazem króla Albanii oraz pewna węgierska hrabina. Patelski znał ich wszystkich. Spytałem, czy to on przygotował pogrzeb. Powiedział, że od zawsze przynależał do tego świata.

W szczerze wystrojonej divie o długich, farbowanych blond włosach z wysadzonym diamentami diademem na głowie, która przyjechała w złocistej limuzynie, Patelski rozpoznał księżniczkę Yasmin Aprile von Hohenstaufen Puoti, która zapewniała, iż pochodzi w prostej linii od cesarza Fryderyka II i Izabeli Angielskiej, jak również, że była swego czasu tajną agentką CIA i która przed kilkoma laty wzbudziła sensację żądając zwrotu pałacu Castel des Monte w Apulii, jako rzekomo bezprawnie zarekwirowanej przez państwo własności rodzinnej.

Następnie przybyli Konstanty, ostatni król Grecji, ze swoją małżonką Anną-Marią, najmłodszą córką króla Danii, austriacki aktor Klaus Maria Brandauer, który również miał już około siedemdziesiątki, markiz Giovanni Nicastro Guidiccioni i księżniczka Małgorzata z

Rumunii, leciwa córka ostatniego rumuńskiego króla Michała I, który abdykował w roku 1947.

Siwy, naznaczony trudami życia oraz pobytami w solarium mężczyzna o burdelowym uśmiechu, który swoją żalobę demonstrował eksponując równie siwe włosy na klatce piersiowej w rozpięciu satynowej koszuli, to zdaniem Patelskiego Frédéric von Anhalt, ostatni mąż hollywoodzkiej gwiazdy Zsa Zsa Gabor. Zdaniem Patelskiego swój książęcy tytuł po prostu kupił. Barwna dama o dziwacznym asymetrycznej fryzurze, to według Patelskiego Gloria von Thurn und Taxis, mająca kiedyś przydomek „punkowej księżniczki”. Jej szacowna rodzina książąt, którzy byli w służbie jeszcze Świętego Cesarstwa Rzymskiego, wprowadzili w XV w. usługi pocztowe.

Następnie przybyli Jason, syn szkockiego aktora Sir Seana Connery’ego oraz Diane Cilento, baron Patrizio Imperato di Montecalvino, Francisco Luis, wnuk legendarnego portugalskiego śpiewaka operowego, Francisco Augusto D’Andrade, którego wykonanie tytułowych partii w *Don Giovannim* Mozarta podczas Salzburger Festspiele z roku 1901 zdaniem znawców po dziś dzień nie znalazło sobie równych, oraz księżę Presławia Kirył, syn Symeona II, ostatniego cara Bułgarii. Miał czarną pelerynę i szablę u boku, z którą chętnie pozował do zdjęć chińskim turystom.

Pojawił się starszy pan w czymś w rodzaju stroju myśliwskiego, którego Patelski zidentyfikował jako księcia Richarda zu Sayn-Wittgenstein-Berleburga.

– Poluje na żubry w swoich włościach – wyjaśnił.

Nie mogłem powstrzymać się od wrażenia, iż wielu z przybyłych gości traktuje swoje pojawienie się tutaj nie tylko jako wyraz hołdu dla zmarłej starszej pani, ale też szansę pokazania siebie. Dzięki spotkaniu tutaj, w tym miejscu, w którym kiedyś w przeszłości wszyscy oni byli bogatsi, więcej znaczący i bardziej znani niż teraz, mogli się jeszcze raz

upewnić we wspólnym złudzeniu, że cały świat należy do nich. Poruszali się z podniesioną głową, żeby nie patrzeć na dziury w podeszwach swoich butów i próbowali raz jeszcze nie martwić się o rachunek za wynajętą limuzynę.

– A więc to prawda, co opowiadał mi Montebello – powiedziałem. – Nie ma takiego kawalera, hrabiego, markiza, księcia czy innego arystokraty, który nie złożyłby kiedyś pocałunku na dłoni starszej pani.

– Europa była bardzo lubiana – powiedział Patelski.

– Europa? – zdziwiłem się.

– Tak miała na imię – wyjaśnił. – Starsza pani miała na imię Europa, tak jak córka Agenora i Telefassy, porwana przez Zeusa pod postacią byka. Hotel został nazwany od jej imienia. A pan co myślał?

2

Starsza pani Europa leżała na katafalku w otwartej dębowej trumnie w głównym holu hotelu u stóp monumentalnych marmurowych schodów między Sfinksem a Chimera. Żałobników zdecydowanie poproszono o nieprzynoszenie kwiatów, aby nie zaburzyło to oszałamiającej kompozycji z białych lili, którą Montebello kazał zaprojektować specjalnie dla niej. Żałobnicy stali szerokim kręgiem wokół trumny. Turystów poproszono o zachowanie należytego dystansu. Jakaś osoba, która nie potrafiła się oprzeć pokusie, by pochylić się nad trumną z aparatem, została uprzejmie acz stanowczo przywołana do porządku przez chińskiego dyrektora.

Z wybiciem godziny dwunastej odezwał się hotelowy dzwon, który tyle razy obwieszczał nam radosną obietnicę wyjątkowego obiadu. Montebello otworzył drzwi biblioteki, przez które weszło do holu czterech waltornistów we frakach, rozlokowało się u wezgowia trumny ze zmarłą i odegrało instrumentalne opracowanie chorału Jana Sebastiana Bacha „Dzień konieczny k'nam bieży” (Es wird schier der letzte Tag herkommen), BMV 310.

Następnie zrobili miejsce dla biskupa, który specjalnie przybył do hotelu ze stolicy prowincji i na zasadzie absolutnego wyjątku wyraził gotowość odprawienia mszy tu, na miejscu, w Hotelu Grand Europa. Był w kompletnych biskupich szatach, z albą, humerałem, stułą, dalmatyką, ornatem, infułą, pektorałem na zielonym sznurze, w białych rękawiczkach, purpurowych skarpetach, butach w liturgicznych barwach i pastorałem, miał ze sobą ośmiu ministrantów, którzy nieśli kadzielnicę, monstrancję, hostie, kielich mszalny, naczynie z wodą święconą, a nawet relikwię w postaci paliczka świętego Zacheusza, patrona hotelarzy, w starożytnym srebrnym relikwiarzu ze szklanym okienkiem, którą biskup kazał sprowadzić z innego biskupstwa.

Zajął miejsce za zamienionym w ołtarza stołem u wezgowia trumny ze zmarłą i odprawił piękną, krótką, uroczystą i robiącą wrażenie mszę za zmarłych, całkowicie po łacinie, której modlitwy odmawiał dostojnym, drżącym ze wzruszenia głosem, zupełnie jakby to miała być jego ostatnia msza. Nawet krótkie kazanie wygłosił po łacinie. Mówił o końcu epoki, a Patelski i ja byliśmy prawdopodobnie jedynymi, którzy rozumieli jego słowa. W czasie odmawianej przyciszonym głosem modlitwy umilkł nawet szmer rozmów turystów i jedynym, co dało się słyszeć, były pstrykania ich aparatów fotograficznych.

Po mszy dębową trumnę przykryto połączonym wiekiem, którą sprowadzony ze wsi stolarz uroczyście przybił młotkiem. Sześciu parobków ze wsi, przyodzianych przez Montebello w nieskazitelne

garnitury, złożyli ciężką trumnę z lekką jak piórko zmarłą na swoich ramionach.

Utworzył się uroczysty kondukt, który opuścił hotel przez główne wyjście od frontu. Na czele szedł biskup, mając po obu stronach dwóch ministrantów służących mu do mszy, którzy podtrzymywali teraz poły jego ornatu, a za nimi niosący trumnę oraz waltorniści. Goście zebrani w holu musieli zrobić miejsce, żeby umożliwić im przejście, a następnie dołączyć do nich w hierarchicznym porządku uzależnionym od arystokratycznej rangi, a więc najpierw grecki król Konstantyn z małżonką, który był jedynym obecnym tutaj królem, jakkolwiek jego poddani zdetronizowali go już całe dziesięciolecie temu, dalej księżę Kirył jako syn byłego cara, następnie potomkowie dawnych królewskich rodów Rumunii i Albanii, a za nimi wszyscy pozostali książęta i księżniczki, księżę Zoagli, za którym postępowali markizowie, hrabiowie baronowie. Za nimi dopiero dołączyć do konduktu mogli pozostali goście. Całym tym baletem niezbędnym do sformowania konduktu wytwornie acz zdecydowanie pokierował niczym wytrawny choreograf pan Montebello.

Jakiś chiński turysta w krótkich spodenkach pomyślał sobie, że będzie miał niezapomniany filmik z dystyngowanym tańcem żałobników za trumną, jeśli uda mu się to uwiecznić telefonem komórkowym. W celu uzyskania idealnego kadru zrobił kilka kroków w lewo, ciągle filmując, przez co wpadł na stół, służący za ołtarz. Srebrny relikwiarz spadł na marmurową posadzkę. Szybka rozprysła się na kawałki. Paliczek św. Zacheusza potoczył się po posadzce. Turysta popatrzył nań z obrzydzeniem. Jeden z ministrantów chciał podnieść relikwię, ale nie odważył się. Wyglądała zbyt obrzydliwie. Montebello widział tę scenę, tak jak widział wszystko tego dnia, podszedł, wyjął poszetkę z górnej kieszonki fraka, podniósł paliczek, zawinął go w poszetkę i włożył do kieszeni.

W dostojnym tempie marszu żałobnego, granego przez czterech waltornistów, kondukt skręcił w lewo, by ruchem przeciwnym do ruchu wskazówek zegara obejść Grand Hotel Europa jednokrotnie dookoła, a następnie wykonać jeszcze pół okrążenia aż do rozarium na tyłach. Montebello wraz z Abdulem szli tuż za trumną. Księżniczka Yasmin przepchnęła się z przysługującego jej miejsca w orszaku do przodu i dołączyła do rodzin królewskich. Mimo, że działo się to za jego plecami, Montebello wszystko widział, ale nie interweniował.

W rozarium czekał wykopany grób. Trumna umieszczono na linach. Montebello wygłosił krótką, elegancką przemowę, w której przypomniał czasy świetności Europy i wspomniał o końcu pewnej epoki. Swoje osobiste refleksje pozostawił dla siebie. Biskup pobłogosławił grób i trumna została do niego opuszczona. Montebello nabrał garstkę ziemi na łopatkę pogrzebową i wysypał na trumnę, a następnie przekazał łopatkę Abdulowi, który uczynił to samo. Wszyscy goście jeden po drugim poszli za jego przykładem. Następnie w sali jadalnej zaserwowano skromny, trzydaniowy lancz.

I tak została pogrzebana starsza pani Europa.

3

Dzień po pogrzebie Montebello zapytał mnie, czy nie poszedłbym z nim do pokoju nr 1, gdzie przez ostatnie lata życia mieszkała w odosobnieniu starsza pani, w otoczeniu swoich dzieł sztuki i książek. Powiedziałem, że zrobię to z ogromną przyjemnością i spytałem, czemu zawdzięczam ten zaszczyt.

– Ogromnie doceniam pańskie zainteresowanie moją drogą, domniemaną matką – rzekł. – Zawsze też ubolewałem nad tym, że musiałem pana rozczarować i nie byłem w stanie zaspokoić pańskiej ciekawości. Mam nadzieję, że pozwoli mi pan to w jakiejś mierze naprawić. Ponadto nie wie pan, że ja wiem, iż na własną rękę próbował pan odnaleźć pokój numer 1. To, czego szukamy, niejednokrotnie jest bliżej, niż nam się wydaje.

Poprowadził mnie aż do drzwi mojego apartamentu z numerem 17. Następny apartament nosił numer 33, a kolejny numer 8, naprzeciwko numeru 21. Między wejściem z numerem 33 a wejściem z numerem 8, były drzwi do pomieszczenia gospodarczego. Montebello otworzył te drzwi i przepuścił mnie przodem. Piętrzyły się tu złożone komplety pościeli i stały środki czystości. Na tyłach pomieszczenia znajdowały się kolejne drzwi. Montebello otworzył je i znaleźliśmy się w długim wąskim korytarzu, który kończył się niewielkimi drzwiami, na których widniał numer 1.

– Była praktycznie pańską sąsiadką – stwierdził Montebello.

Otworzył niewielkie drzwi, a ja nawet się nie spodziewałem, że może się za nimi kryć tak ogromne pomieszczenie. Weszliśmy do przestronnego pokoju, a raczej sali, o wysokim łukowatym sklepieniu, pokrytym mitologicznymi malowidłami. Ściany zakrywały wysokie regały książkowe, boazeria i obrazy. Przesunąłem wzrokiem po grzbietach części z tysięcy książek zapełniających półki. Znajdowała się tu mniej więcej cała europejska literatura, a przynajmniej na pewno klasyka, zarówno w językach oryginalnych jak i w tłumaczeniach, w większości w starych historycznych wydaniach. Była też szafa ze średniowiecznymi rękopisami. Na obrotowym regale stała ekskluzywna kolekcja włoskiej i francuskiej poezji.

Większość obrazów pochodziła jak na moje oko z szesnastego albo siedemnastego wieku. Niestety nie byłem wystarczająco długo z

Clio, żeby dostatecznie dużo się od niej nauczyć, tak abym umiał przyporządkować obrazy kolejnym mistrzom, ale na jednym z płócien rozpoznałem sygnaturę Stroziego. W każdym razie zorientowałem się, że większość z tych obrazów wymaga oczyszczenia, a niektóre nawet renowacji. W pomieszczeniu było za dużo mebli ze wszelkich możliwych okresów historycznych i o ogromnej różnorodności stylów. Wszędzie stały posągi z brązu, a na sekretarzyku ujrzałem kolekcję małych marmurowych popiersi wielkich poetów i kompozytorów z przeszłości.

Montebello poprowadził mnie do drugiego pomieszczenia za otwartymi na oścież drzwiami, gdzie była jej sypialnia. Również tutaj stały regały z książkami, a na ścianach wisiały obrazy. Na prawo od łóżka widniał wielki obraz, bez wątpienia najlepszy ze wszystkiego, co zgromadzono w tym apartamencie. Było to zorientowane pionowo płótno o wymiarach metr pięćdziesiąt na mniej więcej metr. Przedstawiało Marię Magdalenę, mniej więcej naturalnej wielkości, od stóp do głów, jeśli można tak powiedzieć o klęczącej postaci. Dolne partie jej ciała okrywała czerwona szata, kolor winy, albo kolor miłości, albo może i tego i tego, a w dłoniach spoczywających na kolanach trzymała krucyfiks. Była namalowana z zapierającym dech w piersiach mistrzostwem, całkowicie realistycznie, niemalże dotykalnie, a jednocześnie, jakby była czymś większym ikoną albo mentalnym wyobrażeniem. Pustynia, na której klęczała, by odbywać pokutę, składała się tylko i wyłącznie z ciemnego namalowanego zamaszystymi pociągnięciami tła.

Patrzyłem na jej twarz. Coś było w niej nie tak. Im dłużej na nią spoglądałem, tym mniej byłem pewien, że to na co patrzę, to twarz kobiety. Jej androgyniczne rysy zbiły mnie z tropu. Przypominała mężczyznę, który chce się pokazać ze swej najdelikatniejszej,

najbardziej pokornej strony. Wyglądała jak autoportret mężczyzny pod postacią kobiety.

Zrobiłem zdjęcie obrazu telefonem komórkowym. Oczywiście muszę je przesłać Clio. Wciąż jeszcze mam jej numer. Albo może na adres mailowy. To ostatnie wydawało mi się lepsze, ponieważ przypuszczalnie w Abu Zabi załatwiła sobie nowy telefon. Gniewało mnie, że nie wiem tego na pewno. Uważałem to za niesprawiedliwe, że mogą już istnieć rzeczy, których o niej nie wiem. No cóż, jakoś sobie z tym poradzę. Poszukałem jej adresu mailowego na liście kontaktów, nie przyznając się przed sobą, jak bardzo rozemocjonowało mnie kliknięcie jej imienia.

Zaraz się jednak rozmyśliłem. Oczywiście byłby to isticie kosmiczny triumf, gdybym przesłał jej zdjęcie z jednym jedynym słowem komentarza: „znalazłem”. Byłby to też dla niej prezent. Potwierdzenie jej śmiałej teorii. Na pewno nie mogłaby w to uwierzyć. I z pewnością skupiłaby na sobie uwagę całego świata tym odkryciem. Wszystkiego tego nie zamierzałem jej odbierać. Było jednak pewne „ale”. Coś być może o wiele ważniejszego od sukcesu, a mianowicie nasza gra. Wcale nie chciałem wygrać tej gry, ponieważ jej celem nie była wygrana, lecz wspólne w nią granie.. Jeśli prześlę zdjęcie, nasza gra będzie definitywnie zakończona, a kiedy skończy się ta gra, skończy się też wszystko.

Przed opuszczeniem pokoju starszej pani Europy, raz jeszcze spojrzałem na ostatni obraz Caravaggia. Maria Magdalena pokutująca na pustyni, jakkolwiek nie była winna niczego oprócz miłości. Z miłości odbywała na pustyni pokutę za miłość.

Spakowałem walizki, zapłaciłem rachunki, pożegnałem się i poprosiłem o zamówienie taksówki. Zapaliłem jeszcze wspólnie z Abdulem papierosa na schodach podestu przed wejściem. Podjechała taksówka.

Abdul pomógł mi z bagażami.

– Proszę mi wybaczyć, że nie potrafię powstrzymać ciekawości –
powiedział – ale czy mogę zapytać, dokąd pan wyjeżdża?

– Do Abu Zabi – odrzekłem.

– Do Abu Zabi? A co tam jest?

– Pustynia.